ROZMAITOŚCI.

Dnia 22. Sierpnia. № 34. Roku 1855.

KILKA RYSÓW Z ŻYCIA
Południowéj Ameryki.

Ustęp z dziennika podróży młodego Anglika.

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 32. 33. Rozmaitości.)

Na małym wzgórku, pokrytym grubo zeschłą trawą, rozesłałem mój płaszcz i obwinąwszy się nim, do snu się ułożyłem.

Księżyc świecił nadzwyczaj jasno — ale to tak jasno, że mogłem rozróżnić kolor kwiatów śród łąki. I widziałem wyraźnie srebrzyste ostromleczne, złote tarcze słoneczników, i malwy szkarłatne, wieńczące brzegi *arroyo* płynącego u stóp moich. Cisza urocza panowała w powietrzu, przerywana tylko czasami wyciem wilków, dalekiém chrapaniem moich towarzyszy i chrupotaniem trawy pod zębami naszych koni.

Niespałem dopóki cegaro nie poczęło mię parzyć w wargi, wśród łąk bowiem cegara dopalają się do samego końca; — wtedy położyłem się na bok i niebawem zamknąłem oczy.

Zaledwie zdrzymnąłem się na chwilę, gdy wtém usłyszałem dziwny hałas, — coś środkującego między grzmotem dalekim, a hukiem spadającéj katarakty. Zdawało mi się, że ziemia drży pode mną. — „Będzie zapewne burza," — pomyślałem sobie na wpół senny; tyle jednak miałem przytomności, że otuliłem się lepiéj i dopiéro zasnąłem na nowo.

Grzmot stawał się coraz silniejszy i wyraźniejszy; obudziłem się zupełnie, i rozpoznałem tętęt tysiącznych kopyt, zmięszany z rykiem tysięcy wołów. Ziemia do koła brzmiała niemi i drżała. Słyszałem głosy moich towarzyszy, a między niemi głos Saint-Vraina i Godego, który krzyczał z całego gardła: — *Sacristi*.... hej panie! baczność! bawoły idą!...

Widziałem jak odwięzywali konie i uprowadzali je po za urwiska. Zerwałem się na nogi i zrzuciłem płaszcz. Okropny widok przedstawił się moim oczom. Jak daleko mogłem wzrokiem sięgnąć na zachód, cała łąka zdawała się poruszać. Czarne masy płynęły po niéj falami, jak gdyby jaki wulkan wybuchnął lawą na płaszczyzny. Tysiące świetnych iskier migotały i znikały śród téj ruchliwéj powierzchni, podobne do

połysków ognia. Ziemia drżała — ludzie krzyczeli; konie rwały się na uwięzi i rżały ze strachu; — pies mój z żałośném wyciem i szczekaniem do koła mnie obiegał.

Z początku zdawało mi się, że to wszystko senne złudzenia. Ale nie mogłem się długo uwodzić: scena przybierała za nadto rzeczywiste kształty. Przedni kraniec czarnéj fali nie był już ode mnie daléj na 10 *yardów* i zbliżał się coraz bardziéj. Wtenczas na chwilę mogłem rozróżnić kosmate garby bawole, i błyszczące ogniem zrzenice.

„Mój Boże! pomyślałem — stratują mię!“ Uciekać było już nie rychło. — Chwyciłem strzelbę i dałem ognia — ale nie mogłem dostrzedz skutku mojego strzału. W tém woda *arroyo* bryznęła mi nagle w twarz i oblała całego, potworny bawoł biegnący na czele całéj trzody rzucił się w strumień, wdrapał na brzeg, — porwał mię na rogi i cisnął w powietrze. Rzucony w tył, upadłem w środek owéj czarnéj masy; nie byłem ani raniony, ani nawet ogłuszony, czułem tylko, że się unoszę na grzbietach mnogich zwierząt, które pędząc w zbitéj gromadzie szczelnie stykały się bokami. Nagle przyszła mi myśl szczęśliwa: usiadłem niby na koniu na grzbiecie rogacza, który był wprost pode mną, i uczepiłem się z całéj siły kudłów jego grzywy.

Przestraszony zwierz przyśpieszył biegu i wkrótce wyprzedził całą gromadę. Tego właśnie chciałem. Pędziłem tędy śród łąk, co tylko mógł wyskoczyć mój bawoł, który wyobrażał sobie zapewne, że to pantera lub *katamount* *) usiadł mu na grzbiecie.

Nie miałem wcale ochoty wyprowadzać go z błędu, a nawet bojąc się aby się nie spostrzegł, że nie jestem zwierzem drapieżnym i nie zatrzymał się, dobyłem noża, który na szczęście miałem przy sobie, i kłółem go za każdą razą, gdy mi się zdało, że ustawał w biegu. Za każdém uderzeniem, wydawał ryk i podwajał szybkość.

Byłem jeszcze zawsze w wielkiém niebezpieczeństwie. Cała trzoda ścigała mię krok w krok, frontem rozwiniętym na całą milę, i byłaby mię niezawodnie roztratowała na miazgę, gdyby się mój bawół był zatrzymał i zrzucił mię na łąkę.

Mimo tak strasznego położenia, nie mogłem wytrzymać, żeby się nie śmiać w duchu, wyobrażając sobie jak śmiesznie musiałem wyglądać.

Nagle wpadliśmy w środek jakiejś wioski. Myślałem, że zwierz zlęknie się i zawróci, i myśl ta przerwała przystęp mojéj wesołości. Lecz bawół zwyczajnie pędzi ciągle na prost, a mój na szczęście nie stanowił wyjątku od téj reguły. Gonił coraz daléj, padając niekiedy na kolana, dysząc i rycząc z wściekłości i przestrachu.

Pum-buttes leżały właśnie w kierunku mojego biegu. Uważałem to od dawna, i powiedziałem sobie, że jeżeli się do nich dostanę, będę ocalony. Były one odległe blisko o trzy mile od miejsca, w którym stał nasz biwak, ale mnie

*) Dziki kot górski.

w tak dziwny sposób przebywającemu te przestrzenie, zdawało się, żem ubiegł już z jakie mil dziesięć.

Mały spadzisty pagórek wznosił się wśród łąki o kilkaset yardów od głównego pasma wyżyn. Usiłowałem okrytego pianą bawoła skierować ku téj wzniosłości, pobudzając go nożem do ostatnich wysileń. Jakoż niebawem byłem o jakie sto yardów od celu mych życzeń.

Nadeszła więc chwila, w któréj trzeba było pożegnać czarnego towarzysza. Mogłem go łatwo zabić siedząc na nim, zadawszy mu nożem cios w miejsce najsłabsze, ale za nic w świecie nie chciałbym być sprawcą jego śmierci.

Puściłem więc grzywę i zsunąłem się wzdłuż jego grzbietu, potém, nie powiedziawszy mu do widzenia, począłem uciekać, co mi sił stało ku owemu pagórkowi, a wdrapawszy się na niego, usiadłem na urwisku skały i spojźrzałem na łąkę.

Księżyc świecił ciągle w całym blasku. Mój czarny towarzysz zatrzymał się niedaleko owego miejsca, na którém go opuściłem, stał i oglądał się za siebie, wielce jak mi się zdawało zdziwiony. Było coś tak komicznego w jego postawie, że wybuchnąłem głośnym śmiechem; — byłem już zupełnie bezpieczny na mojém górném stanowisku.

Zwróciłem oczy ku południowemu zachodowi; — jak tylko zajźrzeć mogłem, łąki były czarne i ruchome. Żywa fala zbliżyła się do mnie, ale teraz mogłem już na nią patrzeć bez obawy. Te tysiące źrzenic iskrzących, błyskających fosforyczném światłem, nie były mi już straszne.

Cała trzoda była jeszcze ode mnie może o pół mili, gdy zdało mi się że ujźrzałem kilka jakby błyskawic, i huk kilku wystrzałów doszedł do mnie od lewego skrzydła téj ciemnéj masy. Domyśliłem się więc, że towarzysze moi, o których byłem trochę niespokojny, byli cali i zdrowi.

Bawoły zbliżały się coraz do pagórka, na którym siedziałem, a spostrzegłszy zawadę rozdzieliły się na dwa wielkie strumienie okrążając ją z prawéj i lewéj strony.

Dziwiłem się nie pomału, widząc że mój bawół, zamiast czekać aż go towarzysze dogonią, i złączyć się z przednią ich strażą, począł pędzić ukośnym biegiem, schyliwszy łeb ku dołowi, jakby za nim gnało stado wilków.

Dopiéro gdy się ujźrzał na równéj linii z ostatnim krańcem lewego skrzydła, zbliżył się doń po mału; wreszcie zmięszał się z innemi.

Nie mogłem wtenczas pojąć téj dziwnéj taktyki, ale potém przekonałem się, jak głęboką zwierz ten posiadał znajomość strategii. Gdyby był pozostał w miejscu, gdzie go porzuciłem, bawoły idące w awangardzie, mogłyby go były wziąć za członka innéj gromady i rozerwać na sztuki.

Przesiedziałem na mojéj skale blizko dwie godziny, czekając spokojnie aż czarny strumień przepłynie. Byłem jakby osadzony na wyspie wśród jakiegoś strasznego, czarnego, milionami iskier nasypanego morza. Na chwilę nawet zdało mi się, że to ja się poruszam, że mój pagórek płynie ze mną, a bawoły stoją

nieruchome. Dostałem zawrotu głowy i musiałem podnieść się na nogi, żeby się pozbyć tego przykrego złudzenia.

Strumień płynął ciągle naprzód, nareszcie doczekałem się tylnéj straży, która szła w rozsypce. Opuściłem tedy moje schronienie, i począłem szukać drogi po ziemi stratowanéj i zczerniałéj. Zielony przed chwilą trawnik podobny był teraz do roli świéżo uprawnéj, zdeptanéj miejsce w miejsce przez stado wołów.

Mnóstwo zwierząt białych, niby stado owiec przeciągało przede mną; — były to wilki uganiające się za maroderami bawoléj gromady.

Szedłem daléj, trzymając się południowego kierunku. Nareszcie usłyszałem głosy i przy świetle księżyca dojźrzałem kilku jeźdzców półkołem galopujących przez łąki: „Hop! hop!“ krzyknąłem — jakiś głos odpowiedział mi tym samym okrzykiem, i jeden z jeźdzców przypadł do mnie w całym pędzie konia, — był to Saint-Vrain.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! To Haller? zawołał zatrzymując konia i schylając się żeby mi się lepiéj przypatrzyć. — Czy to ty, czy twój duch?... A, jak Pana Boga kocham, to on sam żywiuteńki!...

— I zdrów jak nigdy — odpowiedziałem.

— No — zkądżeś ty spadł? z chmury, ze słońca, z księżyca czy zkąd?...

Pytania te chórem powtórzyli za nim wszyscy inni, ściskając mię za ręce, jakbyśmy się już z rok nie widzieli. Gode zdawał się najbardziéj ze wszystkich ucieszony.

— Jezus Marya! Rzucony w powietrze, — stratowany pod nogami miliona przeklętych bawołów — i żywy! Sacrrristi!

— Myśmy właśnie wyjechali na odszukanie twego ciała, albo raczéj jego szczątków, rzekł Saint-Vrain. Przetrzęśliśmy łąkę o miejsce w miejsce na milę w około, i już omałośmy nie uwierzyli, że cię bawoły ze wszystkiém pożarły.

— O! pożréć nie! nie pożarłyby człowieka, choćby ich było trzy miliony. — Ale to łotr ten *śpioch* przemierzły — niech go djabli wezmą.

Apostrofa ta skierowana była do Hibbetsa, który nie powiedział moim towarzyszom, gdziem się położył, i przez to wystawił mię na tak straszne niebezpieczeństwo.

— Widzieliśmy jakeś wyleciał w powietrze, mówił daléj Saint-Vrain — jakeś spadł w samo jądro gromady — naturalnie więc mieliśmy cię za przepadłego. Lecz, na Boga, jakżeś się ty z tego wykręcił?...

Opowiedziałem im całą moją awanturę.

— Przez Boga żywego! wrzeszczał Gode — to mi cudowna historya! to mi zuch! nie w ciemię bity!...

Od téj chwili dostałem tytuł *Kapitana* w naszém towarzystwie.

Tymczasem koledzy moi niezły mieli połów; najlepszym tego dowodem był tuzin czarnych potworów leżących na ziemi. Znaleźli także moją strzelbę i mój płaszcz, który był całkiem wkopany w ziemię.

Saint-Vrain miał jeszcze kilka łyków wódki w tykwie, wypróżniwszy więc do reszty i rozstawiwszy widety, położyliśmy się znów na trawie, i resztę nocy przespaliśmy spokojnie.

(Dokończenie nastąpi.)

KOMEDYA.

DRAMAT
Apollona Korzeniowskiego.

(Z Biblioteki Warszawskiéj.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 21. 22. 23. 24. 25. 26. 27. 28. 29. 30. 33. Rozmaitości.)

Scena 2.

Sekretarz *(do służącego, który został za drzwiami).*

E! pójdźże precz z drogi!

(Zbliża się do obecnych z rezolutną miną, ale odwaga go opuszcza, przybiera zaraz pokorną postawę, i kłania się wkoło.)

Prezes *(z gniewem do sekretarza).*

A acan tutaj po co?

Sekretarz *(uniżenie).*

Ucałować nogi
Wszystkich państwa.

(kłania się)

Mam interes mały.

(do Henryka)

Za panem ja, jak waryat, biegam ranek cały.

Prezes *(do sekretarza).*

Czyś upił się? czy wściekł się? Acan tutaj czego!
No! wynoś się! Bo każę wyrzucić, *to tego*,
Słyszysz! Wypchnąć cię każę!

Sekretarz.

Źle się bardzo stanie,
Gdy mię Pan wypchnąć każe! Dalibóg że, panie!

(z cicha do prezesa)

Powiém, com wczoraj pisał.

(głośno i pokornie)

Niech pan mi przebaczy,
Niech pozwoli powiedzieć!

Prezes *(wzruszając ramionami).*

No! Mów! co to znaczy?

Sekretarz *(zbliża się do Lidii i zafrasowany).*

Tego to, ja się żegnam!

(żegna się, Lidia patrzy nań zdziwiona)

Niech nie myśli pani,
Że to robię przez bojaźń, nie! Przez cześć mą (dla niéj.
Raz to pierwszy, że mówić do niéj się ośmielę
Przez wdzięczność.

Lidia.

Wdzięczność dla mnie? cóż zrobiłam?

Sekretarz.

Wiele!
O! tak wiele, że Pan Bóg robić to pozwala
Tylko tym, których kocha. W skrytości i zdala
Zwykle anioł, co zostać niewidzialnym może,
Wspierałaś pani biédną!

Lidia.

Kto? ja?

Sekretarz.

O! mój Boże!
Co w mém sercu wdzięczności, *tego to*, o! ile
Ja wiem! Lecz wypowiedziéć napróżno się silę;
I słowa mi się plączą w jakiś nieład tłumny!

(wzdycha)

Bóg nie na to mię stworzył, abym był rozumny!
Chciałbym mówić, napróżno, *tego to*, się męczę!

(rezolutnie)

Niech mi pani pozwoli ucałować ręce;
A mnie zdawać się będzie, żem wszystko powie- (dział!

Lidia.

Ja nierozumiem pana.

Prezes.

I ja radbym wiedział?

Basia.

Cóż znowu za komedya?

Dutkiewicz *(pokazując na Lidię z przyciskiem do sekretarza).*

Pani, nie rozumié?

Sekretarz *(do Lidii).*

A wspierać moją matkę od lat dwóch, to umié?
A niewidzialną nad nią rozciągać opiekę?
A przysyłać doktora? A płacić aptekę?

Lidia.

Kto? ja?

Sekretarz *(rozczulając się).*

Pamiętać nawet o jéj przyjemnościach?
Ja nie znam się na świata żadnych układnościach.
Może ja niedorzeczność, at! zwykle gbur, robię?
Lecz gdym wdzięczny za matkę, czuję serce (w sobie!
I na głos tego serca, z tém sercem się stawię,
I *tego to*, po prostu, panią błogosławię:
Niech Bóg ziści jéj szczęście!

Lidia.

Ja powtórzyć muszę,
Że nierozumiem pana. O! radabym z duszy
Zasłużyć na dziękczynień słowo święte, rzewne;
Na to błogosławieństwo!
(smutnie)
Ach! ono zapewne
Przyniosłoby mi pokój! Lecz mi nie należy,
Ani wdzięczność, ni szczęście. Niechże pan mi (wierzy;
W téj chwili, może więcéj niż kiedybym chciała
Słyszéć błogosławieństwo!
(na stronie)
O! mniejbym cierpiała.
(głośno)
Nie mnie to pan winieneś;

Sekretarz.

Mówisz pani, wierzę!
Chciałbym być wdzięczny pani, dalipan że szcze- (rze!
Bo ją na to Bóg stworzył.
(po chwili milczenia)
Lecz tak być nie może.
Ja nie kłamca! I zaraz tu dowody złożę!
Ale cóż to ja sobie prózno głowę łamię?
Jest świadek!
(do Henryka)
Niech pan powié, czy ja tutaj kłamię?

Henryk *(budząc się z zamyślenia).*

Ja? Nie wiem o co idzie. Nie słuchałem prawie.
Nie znam pana? I pan mię nie obchodzi wcale,
Ani też jego sprawa!

Sekretarz.

A to doskonale!
Tego to, rzecz wyborna, wyśmienita, nowa!
Mówił pan i powtarzał i pisał te słowa:
„Proszę mi nie dziękować, ja spełniam rozkazy,
To panny Lidii dobroć"; ile tylko razy
Przysłał pan, lub się zjawił z pomocą, z pociechą,
Jakby anioł, pod biednéj mojéj matki strzechą;
Czy nie tak? Niech pan powié!

Henryk *(niecierpliwie).*

Mój kochany panie,
Nie wiem kto pańska matka i gdzie jéj mieszkanie!
(z goryczą)
Ja, dla siebie tu
(ukazując na serce)
nie mam ni łzy, ni pociechy;
A szedłbym je rozrzucać pod obce mi strzechy?
I koić cudze bole, sam cały skrwawiony?!
(gwałtownie)
A jeżelim to robił, to byłem szalony
Niechże pan mię nie dręczy. Spokojność mi droga;
Nic panu nie winienem!

Sekretarz.

A na miłość Boga!
Lecz ja przecie nie kłamię?
(do Lidii)
Niech mi pani wierzy!
Za szczęście pani, tyle, och! tyle pacierzy
Moja poczciwa matka ze łzami mówiła!
Pan Henryk się zapiera, jednak rzecz tak była,
Że to w imieniu pani on nam łzy ocierał!
(Henryk odwraca się. Lidia po chwili walki z sobą, zbliża się nieśmiało do Henryka.)

Lidia *(do Henryka)*

Czy pięknie, aby pan przede mną zapierał
Szlachetnego postępku?

Henryk *(wzruszony).*

Niech pani przebaczy!
Sądziłem, że uczynić nie mogłem inaczéj,
Nie jeden, dar odrzuca; umrzeć z głodu woli.
Od pani zaś jałmużna pociesza, nie boli!
Pożyczyłem jéj imię; niech pani daruje!

Lidia.

Darować? więc pan nie wié jak ja szczerze czuję
Tę dobroć pana dla mnie? Powiedzieć nie umiem.

Prezes *(przerywając).*

To tego, istna bajka!

Basia *(szyderczo).*

Rozumiem, rozumiem!
Bardzo biegle, dowcipnie rzecz ta ułożona:
Poetycznie! To szkoda, że jest przesadzona,

Dlatego z niéj nie długą można mieć pociechę!
(do Henryka, pokazując na sekretarza)
Wiele mu pan zapłacił, za tę czułą strzechę?

Henryk *(spogląda z pogardą na Basię, a mówi do Lidii)*.

Widzi pani, że miałem powód się wypierać?!

Sekretarz *(ze złością do Basi)*.

Fe! Pani! Fe! To brzydko wszystko poniewierać,
Można skłamać rzecz brudną, ale nie rzecz świętą!

Basia *(do prezesa)*.

Niech stryj precz mu iść każe!

Prezes *(do sekretarza)*.

Precz! z mową najętą!

Sekretarz *(patrząc w oczy prezesowi)*.

Takto? Dobrze, i owszem!
(uśmiecha się, do Henryka)
Gdy pan się zapiera;
(do Lidii)
Kiedy pani nieufnie dokoła spoziera;
(do marszałka)
Gdy pan marszałek ziewa; widać się nie bawi?
(do prezesa i Basi)
A państwo się gniewają, i tak niełaskawi
Że aż mię chcą wytrącić?
(kłaniając się)
Kłaniam się niziutko!
Żegnam! Lecz przed odejściem, bajeczkę malutką,
Maciupenieczką powiem.

Prezes *(w złości woła)*.

Héj! Czy jest tam który?
(sekretarz zbliża się do prezesa, szepcze mu coś na ucho; prezes hamuje swą niecierpliwość, i ze stłumionym gniewem mówi do sekretarza)
No; mów już tam do licha!

Sekretarz.

Był sobie Lew chory,
Tego to, ale piérwéj był zdrów. Owóż tedy;
Nie; nie tak! A! Lew pewien doznał wielkiéj biédy,
I nie wiedział co robić! Et! pamięć przeklęta!
Wiem, że tytuł: *Lew* i *Mysz*. Mysz przegryzła (pęta
Lwa. Nie! Lew myszy wyświadczył usługę;
No! już nie wiem, choć wiersze to wcale niedługie.
Dość, że z téj bajki, widać wyraźnie i jaśnie
Że maleńki i biedny, o tak, jak ja właśnie:
Może ludziom poczciwym i pełnym litości,
(do Lidii i Henryka)
Nibyto pan i pani, wyświadczyć z wdzięczności
Usługę znakomitą!

Basia.

Jak na mękach plecie!

Sekretarz.

Państwo edukowani, a bajek nie wiecie;
A może nie lubicie? A więc prawda teraz:
(poważnie do Henryka)
Za to że pan sam biedny, a pomagał nieraz
Biédniejszym, i miał litość,
(oddaje mu papiery)
Niech pan to przeczyta,
Dowie się pan, że u nas na sprzedaż kobiéta.
To targ o pannę Lidię.
(Marszałek przerażony; Basia gryzie wargi, prezes chce przeszkodzić sekretarzowi, ten go giestem usuwa.)
(do prezesa)
Przepraszam!
(do Lidii)
A pani!
Za to że piękne czyny robiły się dla niéj;
Że pani godna tego; ma pani te karty!
Powieść pana Henryka. Ztamtąd list wydarty,
Zfałszowany przeze mnie: to z jéj wuja woli!
Ten list pewno przy pani, pali ją i boli!
(do prezesa)
A co? piękna bajeczka?

Prezes *(z wściekłością)*.

A! Łotrze przeklęty!

Sekretarz *(szyderczo)*.

Tak, to prawda.

Prezes.

Złodzieju!

Sekretarz.

Nie przeczę.

Prezes.

Najęty
Szpiegu!

Sekretarz.

Zaiste prawda.

Prezes.

Nikczemny niecnota!
(grożąc)
Poczekaj!

Sekretarz.

Czekam, czekam.

Prezes.

Przejdzie ci ochota
Do kradzieży. Do turmy wpakuję za zdradę!

Henryk *(biorąc prezesa za rękę).*

Nie pozwalam go krzywdzić.

Sekretarz *(obojętnie).*

O! ja sam dam radę!

(do prezesa)

Tak! tak! tak! Ja nikczemny! Tak! Ja łotr nie-
(godny!
Tak! Ja skradłem papiery! Sługa nieodrodny
Ja Jaśnie Wielmożnego pana Dobrodzieja!

(po chwili milczenia)

Kto ze mnie zrobił łotra, fałszerza, złodzieja?
Kto? Pan! pan! pan! raz jeszcze i jeszcze sto razy!

(szyderczo)

Ale pan za to czysty, niewinny, bez skazy!

Prezes.

Milcz łotrze! Precz mi z eczu!

Sekretarz.

O! raz powiem przecie,
Co mi tu, kością w gardle, i dławi i gniecie!
Nie służę już u pana! komu się zdarzyło
Raz odetchnąć szlachetniéj, temu bardziéj miło
Będzie umierać z głodu, niż służyć u pana!

(po chwili namysłu)

Wszakto ja ręka pańska prawa, pobrukana!
Ile razy trza było zrobić coś nikczemnie,
A sprytnie, a bezkarnie, to wszystko przeze mnie.
By później, na wypadek odpowiedziéć śmiało:

(udając głos prezesa)

„To sekretarz mój łajdak, łajdak jakich mało!
Ta klasa z moralności, *to tego*, wyzuta,
Jak honor kocham, z gruntu, o! z gruntu zepsuta!?“
Któż ją zepsuł? Wy sami! A pan, to na czele!
Za ten kawałek chleba gorzki, wiele, wiele
Wymagał pan poniżeń? A sam pan prowadził
Za rękę w każde błoto; sam uczył i radził;
Sam psuł; sam toczył zdrowe i serce i duszę
Jak robak! Za to wszystko podziękować muszę!

(z uniesieniem)

I dziękuję! dziękuję! dziękuję! przeklinam!

Basia *(z oburzeniem).*

A to rzecz niesłychana!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

STARY.

„Młodzieży! posłuchajcie Starego, którego niegdyś starce słuchali, kiedy był młodym. Posłuchajcie mię, wołał Nestor na przewodzców wojsk greckich, a słuszna byście mię słuchali, byście byli uważni na to, co mówię, bo żyłem z ludźmi którzy więcéj wartali od was. Jak mi Bóg miły, nie widziałem i nie będę już widział bohatyrów takich, jakimi byli dawni przyjaciele moi: Pirychus, Eksadias, Polifem, co to się bogom równali, albo Tezej i Egeusz ojciec jego, i tylu innych — chociaż prawda, ci już mniéj byli warci niżli ich ojcowie.“

Tak to zawsze, obecne czasy prześladował wiek stary. Ależ co robić? — Oh! rzecz bardzo łatwa: osłońmy pochwałą wiek upłyniony, a zastosujmy się do obecnego. Przodkowie byli pół bogi, wytwarzali wielkich bohatyrów, wielkich wieszczów, wielkich autorów; — ci wielcy bohatyrowie, wielcy wieszcze, wielcy mistrze wydali na świat wczorajszego autora, a Bogu zostawmy, jaki jutro przybędzie.

I ten wczorajszy autor przybył na świat w uroczystą porę, kiedy już starego świata nie było, a nowy jeszcze nie nastał. Dziwne wypadki przerwały pasmo snute z przeszłości do wieków potomnych, i stanął sam o sobie, i sam wydeptywać musiał ścieżkę dla siebie, przechodził rozmaite koleje, biegł za współczesnymi, i po długich walkach, utarczkach, znowu się widział samotnym, zeszedł w ustronie i żył nieznany, zapomniany w zaciszu; chłopięciem tulił się bez rodziny, mężem biedził w przygodach, starcem chce się wspomnieniem zasilić i tą młodzieżą, która przykwita.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.**

Z c. k galicyjskiéj drukarni rządowéj.